Nr. 6. Lwów, dnia 20. Lutego 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

— Doprawdy?.. Wiesz, Leonardzie, to coś tak samo, jak u mnie... W ostatnim roku, zwłaszcza po powrocie z Monaco, także się przekonał, że życie w mieście zanadto jest kosztowne.

— Ale ty przynajmniej masz majorat...

— Prawda, lecz co z niego, kiedy nie jest intratny... Tak więc, mój kochany Leonardzie będziemy razem odpoczywali w tem ustroniu i marzyli nad brzegami cudownego jeziora. — Tu hrabia ziewnął raz i drugi, potem z cygara popiół strzepując tak dalej mówił: — Z sąsiedztwa mielibyśmy zatem najpierw dom Zarnecków, nie zabawny wprawdzie, ale w ostateczności lepszy taki niż żaden. Jest tu kto więcej?

— Naprzeciwko, w Trzcińcu, mieszka niejaki pan Miliński.

— Miliński? Miliński? To chyba coś polskiego.

— Tak jest, polak...

— Jeśli się nie mylę, to przed laty dziesięciu, gdym tu był ostatni raz, w Trzcińcu mieszkała jeszcze jakaś dama tego samego nazwiska.

— To właśnie jego matka. Umarła przed ośmiu, lub dziesięciu laty.

— Znasz tego pana Milińskiego?

— Poznałem go przed miesiącem w kościele.

— I na tem się skończyło?

— Nie... byłem już nawet u niego.

— Tak? Więc musi to być człowiek przyzwoity, dobrego towarzystwa?

— Istotnie... wprawdzie nie jest bardzo wytworny, zwyczajnie jak polski szlachcic, lecz nie można mu nic zarzucić.

— Kawaler?

— Przeciwnie, żonaty.

Hrabia głowę podniósł i monokl w oko wciskając, zapytał:

— Przystojna?

— Bardzo... nawet prześliczna.

Hrabia równocześnie obiema dłońmi po kolanach się uderzył.

— He, he, he! ledwiem z ciebie to wyciągnął, ty synu wyrodny! — śmiejąc się zawołał. — Mimo, żem ci był zawsze przyjacielem, tyś teraz dla mnie taki niepoczciwy!.. Więc taka tam mieszka, po drugiej stronie wody, w tym domku czerwonym! — dalej mówił, nie bez trudności z fotelu się podnosząc, przyczem wspierał się na obu rękach — Tak blisko, a ten zazdrośnik dopiero teraz mi to mówi. No, no, poznamy się, poznamy, przecie o sąsiadach należy pamiętać!. Ale wiesz co, ja ci psuć nie będę, chyba gdybyś sam, mnie, jako swemu gościowi, chciał zostawić pierwszeństwo... Tam mieszka.. nie daleko... łodzią za pół godziny można dopłynąć. Tylko szkoda, że te twoje łodzie jakieś niepokaźne i wielce niebezpieczne.. Ale jest na to rada, mój synu. Łodzie parowe bardzo teraz tanie, w Hamburgu dostaniesz taką łódź za kilka tysięcy marek. Jeżeli zechcesz, zaraz jutro napiszę do mego bankiera a za czternaście dni będziesz ją miał tu, na miejscu.

— Bardzo będę ci wdzięczny, bom już sam o tem myślał. Muszę tylko wpierw porozumieć się z Scholtzem, gdyż nie wiem czy teraz rozporządza taką kwotą.

— Ależ musi, mój drogi! Dałbym ja takiemu rządcy, który by nie umiał znaleźć pieniędzy, gdy ich potrzeba Pomówię ja z nim sam jutro i przekonasz się, że będziemy mieli łódź parową. He, he, he, toż to będzie przyjemność!

Stary hrabia uśmiechał się, ręce zacierał, językiem plaskał. Wpadłszy raz na temat, który w życiu swojem poczytywał zawsze za najprzyjemniejszy, badał długo syna, jak pani Milińska wygląda, czy jest bruneta ognista, czy blondyna sentymentalna, czy lubi stroić się i bawić, jakie ma zresztą upodobania i czy przypadkiem nie jest kapryśną. Na ważne te pytania syn nie mógł mu dać stanowczych odpowiedzi, dotąd bowiem znał ją prawie tylko z widzenia, gdyż wśród rozmowy, trwającej ledwie kilka minut, za pierwszą jego bytnością w Trzcińcu, nie mógł jej jeszcze tak dokładnie poznać. Wszakże pod jednym względem zaspokoił ciekawość ojca, gdy mu powiedział, że ta, o którą pytał, nie była ani brunetka, ani blondyna, lecz ciemna szatynka o oku niebieskiem.

Hrabia jeszcze głośniej językiem plasnął i palcami strzelił.

— Wiesz, Leonardzie, takie bywają najlepsze! Na brunetkach człowiek się zawodzi, te bowiem miewają często gęsto wulkan w oczach, a syberyjskie lody w sercu; u blondynek znowu zwykło dziać się na odwrót: Syberja w oczach, a wulkan w sercu, lecz co nigdy nie zawodzi, to ta cudowna mięszanina, którą się u jasnookiej szatynki spotyka. He, he, he, te są nieporównane! *Prachtvoll! superb!*

Syn z ojcem rozmawiali do północy. Gdy się nareszcie mieli rozejść, rzekł stary hrabia:

— Będę cię prosił, mój kochany, o jakiego zaufanego człowieka, gdyż moi ludzie z pakunkami i końmi, dopiero jutro przyjadą. Dla dozoru musiałem nawet mojego Sylwestra z nimi zostawić. Masz tu takiego, któremu by można ufać?

— Czy chcesz mu co ważnego powierzyć?

— Nic takiego, ale jak każdy człowiek, mam i ja różne nawyknienia, o których świat wiedzieć nie powinien... nie chciałbym więc...

— Jeźli ci, ojcze, o to idzie, to możesz być spokojny. Zanim twoi ludzie przybędą, będzie ci usługiwał mój Jacques, na którego można się spuścić. On niemców tak nie nawidzi, a tych mam tu najwięcej, że z nimi nawet nie mówi.

— Dziękuję ci, dziękuję. Jacques w rzeczy samej będzie dobry.

Po chwili syn odprowadziwszy ojca do jego apartamentu, powierzył go opiece kamerdynera, podał mu rękę na pożegnanie, powiedział: dobranoc! i wyszedł.

Hrabia miał czarne, gęste włosy, tak na czoło naczesane, że tworzyły modną grzywkę i takież wąsy. Cera jego twarzy wszędzie była biała, na policzkach bladoróżowa, zęby miał jak perły drobne, zdrowe i szklące, brwi nad kośćmi ocznemi tworzyły dwa ciemne łuki, oczy same miały już wprawdzie kolor niezdecydowany, lecz zato były jeszcze bardzo ruchliwe. Gdy tak stał wyprostowany, zwłaszcza teraz, w tem półświetle lampy przysłoniętej, niktby jego prawdziwego wieku nie odgadł.

— Jacques! — zawołał.

Kamerdyner zbliżył się na palcach.

— Nalej mi pół szklanki wody.

Gdy Jacques to uczynił, hrabia z uprzejmym uśmiechem tak przemówił:

— Teraz, mój kochany, pomożesz mi się rozebrać, bo czas już pójść spać. Jutro zaś, o szóstej rano, przyjdziesz do mnie z mokrem prześcieradłem i natrzesz mnie trochę... Ja to bardzo lubię, bo to orzeźwia i sil dodaje. Żebyś zaś nie narzekał, że cię trudzę rzeczami, których może jeszcześ nigdy nie robił, więc masz to na pamiątkę.

Tu wsunął mu w rękę złotą dwudziestomarkówkę. Jacques uczuwszy na dłoni luby chłód szlachetnego kruszcu, uśmiechnął się, i z wprawą długoletniego sługi zaczął go rozbierać. Podczas gdy sługa pod kamizelką rozsznurowywał na nim misterny gorset paryski, w którym były cztery pręty stalowe, na cal szerokie i odpowiednio grube, dwa po bokach, trzeci w tyle, a czwarty na przedzie, hrabia sam otworzył najpierw usta, z nich szybko wyjął zęby, które wpuścił do szklanki z wodą, potem palcami dotknął się włosów w tyle głowy i w tejże chwili na stole postawił piękną, czarną peruczkę.

W trzech minutach zupełna metamorfoza była dokonana. Przed zdumionym kamerdynerem, który jednak niczem tego po sobie nie okazał, zamiast dawnego hrabiego, stał starzec zgrzybiały, zgarbiony, łysiuteńki i z ustami zapadniętemi. Z wszystkich oznak młodości zostały mu tylko czarne brwi i wąsy.

— Bądź zdrów Jacques i pamiętaj przyjść rano o szóstej — rzekł głosem zmienionym, pod kołdrę się wsuwając.

Kamerdyner przystawił mu do łóżka stolik z lampą i wodą, okiem wytrawnem powiódł jeszcze w około, aby się upewnić, że wszystko w porządku zostawia i jak duch wyszedł cicho.

X.

Hrabia wstał jak zapowiedział. O szóstej rano był już na nogach. Jacques natarł go zimnem prześcieradłem i pomógł mu się ubrać. W godzinę wyglądał znowu jak wczoraj, nawet świeżej i młodziej, dzięki różnym kosmetykom, których przywiózł z sobą zapas niemały.

Wypił filiżankę czokolady, zjadł dwa biszkopty, zapalił cygaro, włożył monokl i z laską w kieszeni zszedł do ogrodu. Z początku błąkał się bez celu, póki badawcze jego oko tam go nie zaprowadziło, gdzie przy cieplarni dostrzegł kilka dziewcząt zajętych wynoszeniem i ustawianiem kwiatów. Podszedł ku nim, do jednej zagadał, drugą pogłaskał, trzecią uścisnął i tak w ciągu pięciu minut z wszystkiemi się zapoznał.

Niedługo potem zszedł się z rządcą. Rozmowa między nimi musiała być ważna i ożywiona, skoro hrabia często stawał i rękami takie znaki robił, jakby niemcowi coś do głowy wkładał; Scholtz zwieszał głowę, wzruszał ramionami i wyglądał jak człowiek, który właściwe nie wie, co ma odpowiedzieć na postawione sobie żądanie. Hrabia zatrzymał się raz ostatni, chwilę coś mu jeszcze tłumaczył, potem poklepał go po ramieniu i odszedł w głąb ogrodu

Przed samą dziewiątą zszedł syn do niego, a równocześnie z wieży kościółka ozwał się dzwonek. O dziewiątej miał tu przyjechać z Trzcińca ks. Błażej Czyżyk, aby w miejscowym kościele mszę św. odśpiewać. Muzykantów zatrzymano od wczoraj, ci bowiem mieli podczas nabożeństwa grać na chórze.

Odkąd hr. Leonard do Ujścia przyjechał, ks. Błażej miał dopiero drugi raz odprawiać tu mszę św. Pierwszy raz uczynił to przed miesiącem, jakby na instalację młodego dziedzica Później hrabia tego nie żądał, ponieważ chętnie jeździł sam do kościoła w Trzcińcu i dopiero dziś wypadało odprawić drugi raz nabożeństwo na intencję starego hrabiego, który od tak dawna tu nie był.

Chociaż młody hrabia, za pierwszą już bytnością księdza u niego, okazał się bardzo hojnym i gościnnym, po mszy bowiem zaprosił go do siebie na sute śniadanie i wręczył mu rulonik złota pełen, mimo to ks Błażej wcale się tem nie ucieszył, gdy dnia poprzedniego przyjechał konny posłaniec z listem od hrabiego. Przeczytawszy pismo zafrasował się, długo myślał, po pokoju chodząc, nim nareszcie odpisał że przyjedzie. Gdy posłaniec wyszedł, stanął i rzekł półgłosem:

— I pieniędzy nie chcę i jego radbym nie widzieć. Chociaż nosi piękne nazwisko, mówi po polsku aż się niedobrze robi i ciągle ku temu kieruje, bym z nim szworgotał po niemiecku, gdyż wie, że nie umiem po francuzku. O! tego już chyba na mnie nie wymożesz!... Prędzej umrę, niż będę z polakiem mówił po niemiecku Ale zawsze to rzecz wielce nieprzyjemna... Gdyby to jeszcze gdzie indziej było, mniej bym sobie z tego robił, ale u niego, w domu, trudno być niegrzecznym. Chłopu w takim razie mówię zawsze wprost co myślę, z nim trzeba politykować, a ile mnie ta polityka kosztuje, ty Panie Boże tylko jeden wiesz!

Założył w tył ręce i zaczął się przechadzać.

— Trudno mu było odmówić, zwłaszcza, że ojciec do niego przyjechał — dalej z sobą rozmawiał. — Obowiązek chrześciański i kapłański spełnić trzeba... w cierpliwość i pokorę musisz także uzbroić się mój Błażeju, bo ten jego ojciec ma być ponoś jeszcze gorszy. Nie! nie! — nagle zawołał na środku pokoju stając — przecie Chrystus Pan tego odemnie nie żąda! Odprawię mszę św. i zaraz odjadę. Choćby mnie nie wiedzieć jak prosili, nie wstąpię do pałacu.

Z tem postanowieniem przyjechał do Ujścia leśnego W kościele, prócz obu hrabiów. którzy modlili się bardzo przykładnie, gdyż większą połowę mszy przeklęczeli, znajdowała się także cała służba pałacowa i wielka liczba włościan miejscowych, przeważnie ludzi sędziwych, (młodzi byli od świtu w polu przy żniwie), którzy dzieci prowadząc, przyszli na nabożeństwo. Ksiądz śpiewał poważnie i spokojnie, kaszel bowiem ani raz mu nie przeszkodził, muzyka na chórze dobrze się trzymała, całość w ogóle wypadła jak najlepiej.

Po skończonej mszy św. gdy ksiądz oddalił się do zakrystji, syn rzekł do ojca:

— Czy poszlemy Scholtza do niego, aby go zaprosił na śniadanie, czy też sami pójdziemy?

— Chodźmy! chodźmy! Zawsze to osoba duchowna, trzeba mu się więc przedstawić.

— Zwracam tylko uwagę twoją, ojcze, że ten człowiek nie mówi ani po francuzku, ani po niemiecku.

— Że po francuzku nie umie, to rzecz łatwa do zrozumienia, ale że po niemiecku musi mówić wybornie, to przecie najmniejszej nie ulega wątpliwości. Wszak był w pruskich szkołach...

— Był i niewątpliwie tym językiem włada doskonale, ale mimo to nie chce nim mówić.

— Aha! prawdopodobnie tylko z tymi, o których przypuszcza, że po polsku umieją. Musi to być zatem jakiś ultras patrjotyczny.

— I ja tak sądzę.

— Skoro tak, więc przez grzeczność trzeba będzie język sobie trochę nałamać Trudna rada, Pan Bóg poczyta nam to pewnie za ofiarę. Ale chodźmy, Leonardzie, bo on się pewnie już rozebrał.

Weszli do zakrystji.

Gdy syn ojca z księdzem zapoznawał, ten ujrzawszy przed sobą figurę tak niezwykłą, spuścił w dół oczy jakby się czego zawstydził i na słowa hrabiego nic nie odpowiedział, tylko mu się kłaniał. Stary dworak, umiejący ilekroć chciał tego, zjednywać sobie życzliwość ludzką, dostrzegłszy pewne zakłopotanie na twarzy księdza, zaczął mu tyle mówić grzeczności, przytem w formie tak dobrej, że proboszcz odtajał i nawet rękę, którą hrabia ciągle jeszcze w jego dłoni trzymał, dość szczerze uścisnął. Mimo to nie mógł sam przed sobą wstrzymać się od uwagi, że ręka hrabiego była zimna, lodowata, jakby trupia.

*

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Nie sama grzeczność pokonała ks. Błażeja; nie równie więcej wpłynęło to na niego, że hrabia, lubo niekiedy zarzucał słowami bądź niemieckiemi bądź francuzkiemi, przemawiał doń przecie po polsku i do tego wcale poprawnie, przytem doskonałym akcentem. On tyle dotąd nasłuchał się o tej rodzinie na pół zniemczonej, na pół zfrancuziałej, że z prawdziwą radością powitał teraz niespodziankę, którą mu stary hrabia zgotował.

— Więc nie jest tak źle, jak mi mówiono — w duchu pomyślał. — Ci ludzie nie całkiem się jeszcze wynarodowili.. Jak by to ślicznie było, gdybym ich uratował!..

Myśl ta jak błyskawica czoło mu wypogodziła duszę wpierw rozjaśniwszy, dzięki też czemu, gdy młody hrabia zaprosił go na śniadanie, nie odmówił, lecz chętnie poszedł do pałacu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

VI

Panna Maulabret dowiedziała się w liście pisanym przez jej opiekuna, iż tenże znajduje się dotąd w Combard „w swojej letniej rezydencji“ (jak się wyrażał) i z przyczyn nader ważnych, których bliżej nie określał, nie wróci do Paryża, aż pod koniec zimy. Donosił jej również, że pani Cantarel poczytuje za swój obowiązek, który spełni z przyjemnością, czekać na nią u bramy szpitalnej. Matka Amelja, nie oszczędzająca wcale osób nielubianych, lubiła zaś tak mało kogo, odmalowała Jecie panią Cantarel bardzo niekorzystnie. Utrzymywała, że jest w najwyższym stopniu samolubna, zajęta jedynie własnem zdrowiem, swojemi wygódkami i zdradzająca obejściem lodowatem zupełną bezduszność. Nazywała ją: — Cnotą zakonserwowaną w bryle lodu.

Gdy zbliżyła się do powozu, panna Maulabret zdziwiła się niesłychanie, spostrzegłszy w nim osobę w niczem nie podobną do opisu matki Augustynki Powiedziano jej, iż pani Cantarel ma lat przeszło pięćdziesiąt, tymczasem nieznajoma w powozie mogła mieć najwyżej lat czterdzieści, a i na tyle właściwie nie wyglądała. Zapewniano, że jej ciotka ma minę osoby chorowitej, która poświęcając wygódkom wszelkie pretensje, ubiera się jak rekonwalescentka, świeżo łóżko opuszczająca. Nieznajoma owinięta futrem kosztownem, wyglądała na wielką panią, była jeszcze piękna, strojna i zdawała się najzdrowszą w świecie. Nakoniec była przygotowaną dostać się w sfery lodowate i naprzód dreszcz czuła od stóp aż do głowy; jakąż to było jednak dla niej niespodzianką, gdy nieznajoma z uśmieszkiem najsłodszym wykrzyknęła skoro ją w oddali postrzegła:

— Panna Maulabret, nieprawdaż? Wsiadaj pani szybko!... Jakże jesteś lekko odziana! Twój płaszczyk wiatrem podszyty. Proszę się do mnie przytulić, mam futer na dwie! Co za czas przerażający moja piękna! Przebacz, bo zresztą, nie jam go stworzyła, nie mogę też za tę okropność odpowiadać.

Stangret zaciął konie, pojechały. Nieznajoma wytłumaczyła w kilku słowach Jecie, że żyje w ścisłej przyjaźni z p. Ludwikiem Cantarel, jej dziadkiem wujecznym, że była tegoż sąsiadką na wsi, że ich posiadłości stykały się ogrodami i tylko mur je przedzielał. Pani Cantarel bała się narazić na tak srogie powietrze, ona więc ofiarowała się ją zastąpić i przyjęto jej propozycję. Lubi zresztą jeździć choćby i w porze najostrzejszej, tym razem atoli uległa chęci najżywszej, poznania młodej osoby, o której cuda słyszała, o jej nieszczęściach, piękności i cennych przymiotach. Tyle jednym tchem nagadała, że panna Maulabret, nie wiedziała po prostu co z sobą zrobić.

— Pogódź się pani ze swoim losem — mówiła dalej. — Aż do wieczora do mnie należysz. Możeś ciekawa jak się nazywam? . margrabina Moisieux.

Pewne nazwiska przeciskają się nawet przez kraty klasztorne instytutu naukowego dla młodych panienek. Świat, który nie przypuszcza, żeby można się nim nie zajmować, korzysta z wakacji, aby oświecić w wielu rzeczach pensjonarki: pszczółki zbierały plon pilnie, tu i tam; czekają więc niecierpliwie chwili, gdy znowu zejdą się razem, aby miodek z uszka do uszka przefiltrować. Otóż doszło było i do panny Maulabret ze źródła pewnego, iż margrabina była wnuczką dzielnego marszałka z czasów pierwszego cesarstwa, a wdową po człowieku znakomitym, który za drugiego cesarstwa piastował wysokie dostojeństwa, że i ona była w wielkich łaskach, będąc prawdziwą ozdobą salonów w Tuileriach. Owa pensjonarka, która tak lubiła wpatrywać się w swoją piękną rączkę, udzieliła Jecie tych wiadomości dodając pod sekretem, że magrabina pozwalała niegdyś mówić o sobie więcej, niżby było należało. Jeżeli nawet za życia męża popełniała jakie grzeszki, starała się gorliwie wynagrodzić mu to po śmierci. Gdyby w tej chwili panna Maulabret była ją poprosiła o pozwolenie przypatrzenia się zbliska jej broszce, medaljonowi, zegarkowi, kamei zamykającej kosztowną bransoletkę, aż do mnogich na palcach pierścieni, była by wszędzie odszukała nieboszczyka margrabiego, en face, z profilu, we fraku, w stroju strzeleckim, w mundurze, siedm razy odportretowanego ni mniej ni więcej. Jest to hołd, który kobiety składają chętnie takiemu mężowi, którego za życia wielce oszukiwały, a prawdopodobnie za to, że raczył tego nigdy nie widzieć.

Pannie Maulabret wydało się to trochę dziwnem zrządzeniem Opatrzności, iż właśnie ta, sławna swego czasu kobieta, była przeznaczoną, aby ją odprowadziła do domu opiekuna. Matka Amelja nie mogła jej się dość napowtarzać, że Ludwik Cantarel jest radykalnym, nieprzejednanym, czerwonym, najczerwieńszym. Cóż mogło być wspólnego między nim a margrabiną? Pani de Moisieux nie czekała na te pytania. Sama zaczęła jej opowiadać, iż przed dwoma laty przebywała w Szwajcarji i tam przypadek ją sprowadził przy tabledocie z państwem Cantarel. Nawiązała z nimi stosunek przyjazny, który zacieśniły jeszcze przysługi rozmaite i nadar ważne, oddane jej przez pana Cantarel. Nie miała dla niego dość słów uznania. Nie tylko to Jettę dziwiło. Jakkolwiek ze światem nieobeznana, uderzyło ją, iż margrabina nie miała z sobą lokaja, ani pokojowej; zauważyła również na plecach woźnicy cerę wzdłuż surduta idącą, powóz zaś był

po prostu remizą na dzień wynajętą. Wszystko to nie licowało z dawnemi wspaniałościami na dworze cesarskim, z czego Jetta wywnioskował, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, pani de Moisieux musiała stracić stanowisko i majątek. Nie myliła się w swoich przypuszczeniach. Po rewolucji wrześniowej, margrabia, którego długi cesarz po kilkakroć płacił, schronił się do Anglji, tam też umarł w pięć lat później, zostawiając interesa wielce powikłane. Pani de Moisieux nie mogła długo wytrzymać po drugiej stronie kanału i wkrótce wróciła do Paryża. gdzie ją obskoczyła ze wszech stron zgraja wierzycieli, którzy straciwszy cierpliwość, nie chcieli wejść w żadne układy. Wtedy to pan Cantarel pospieszył jej na pomoc, poświęcił wiele, byle ją uratować, potrafił wpłynąć na lichwiarzy bezczelnych i zmusił ich do znacznych ustępstw. O tych ważniejszych przysługach Jecie wspominała i tę korzyść odniosła margrabina z kilkodniowego pobytu z państwem Cantarel w Lucernie i że słówek miodowych, któremi umiała pozyskać jego przychylność.

Jeżeli margrabina zrobiła na pierwszy rzut oka miłe wrażenie na pannie Maulabret, ta nawzajem podobała się nadzwyczaj pani de Moisieux Nieznacznie, zpod oka, przypatrzyła się jej dokładnie. od stóp aż do głowy, poczem zawyrokowała: że Jetta posiada oczy. zdolne natchnąć namiętną miłością. miałaby prześliczną rączkę, gdyby umiała ją pielęgnować i dobierała stosowne rękawiczki, nóżkę godną Kopciuszka. skoro będzie obuta jak się należy, włosy cudowne, gdy będą umiejętnie ułożone, kibić wiotką jak palma, jeżeli suknie skroi i ozdobi dobra krawcowa. Jetta miała wielką ochotę odpowiedzieć, iż wcale się o to nie troszczy, żeby zostać prześliczną i być ubóstwianą. Przypomniała sobie jednak polecenie matki Amelji, aby okazywała się ile możności uległą, ustępującą w drobiazgach, za to żeby zachowywała całą energję i aby była niewzruszoną w kwestjach wielkiej wagi i znaczenia. Wstrzymywała się zatem od wszelkich uwag i protestów. Pani de Moisieux, pogłaskawszy ją po twarzy pieszczotliwie, oświadczyła, że odtąd sama ją będzie uczyła sztuki ubierania się, tymczasem jednak musi ją zawieźć na przedmieście Saint-Honoré, do pana Vaugenis, wykonawcy testamentu pana Antoniego Cantarel, któremu należy się z prawa jej pierwsza wizyta.

Gdy siostra Marja udała się była do Passy, aby modlić się przy łożu konającego, umysł jej był tak skałotany, tak wyłącznie jedną myślą przejęty, iż przeszła wzdłuż salonu obszernego, przepełnionego ludźmi, nikogo nie spostrzegłszy. Gdy teraz stanęła naprzeciw pana Vaugenis, nie przypominała sobie wcale, iż go widziała przed dwoma tygodniami opartego o kominek i rozmawiającego z pięknym młodzieńcem, na którego również patrzyła wtedy, nie widząc go wcale. Dawny prezydent zaimponował jej z razu grzecznością lodowatą, postawą trochę sztywną, którą trzymał ludzi zdala od siebie. Niepokoił ją nie mniej lekki zyz, raczej tajemniczy, niż nieprzyjemny, którym się niegdyś posługiwał bardzo skutecznie w swojem urzędowaniu. Ludzie rozumni, umieją użyć korzystnie, nawet i kalectwa. Jetta nie mogła odgadnąć, czy pytając o to lub owo, patrzy na nią, czy nie? zaczynała niemal wierzyć, iż pan Vaugenis, wtedy tylko zarzuca zezem, gdy mu z tem wygodnie. Prędko jednak pozyskał jej serce, mówiąc z całem przejęciem o jej zmarłym dziadku i o przywiązaniu do niej tego starca najszlachetniejszego.

— Pozwolisz kochany prezydencie zadać sobie jedno pytanie? — zagadała margrabina.

Gdy pan Ludwik Cantarel nie był obecny, tytułowała zwykle każdego według urzędu, który piastował za cesarstwa.

— Jak mogłeś dopuścić — mówiła dalej — aby sprawiono twojemu najdroższemu i najwierniejszemu przyjacielowi pogrzeb cywilny?

— Musiałem zastosować się do ostatniej woli zmarłego — odpowiedział.

— Źleś postąpił. Nie bawiąc się wcale w rozprawy teologiczne, znajduję jednak. iż powinniśmy się zastosować do zwyczajów istniejących, tak to nas mało kosztuje! Pozwoliłbyś pan wyjść na ulicę któremukolwiek ze swoich przyjaciół w chińskim kapeluszu na głowie?.. Pogrzeb cywilny jest właśnie takim chińskim kapeluszem

— Nie śmiem pani zaprzeczyć. Trudna atoli sprawa z umarłym. Jak tu poradzić, żeby zdanie zmienił?

— Ależ przeciwnie. nic łatwiejszego! Umarli są tak ulegli, tak rozsądni! — odrzekła tonem lekkim — Można z nimi zrobić co się tylko podoba, niczemu się nie sprzeciwią

— Kochana margrabino — odpowiedział tym samym tonem — bruździło mi jakoś moje sumienie w tym wypadku. W ogóle mało mi ono w życiu zawadza, jednak czasem mnie żenuje.. Szkoda wielka, że pani wówczas nie było! Byłabyś temu dziwakowi przemówiła do rozumu!

Wymieniwszy z margrabiną kilka strzałów rotowych w tonie żartobliwym, zwrócił się do Jetty i rzekł z całą powagą:

— Muszę panią uprzedzić, iż według litery testamentu, jej dochody od dziś są płatne; uprzedziłem o tem pani opiekuna Co do kapitału, ten możesz pani podnieść dopiero za dwa lata.

— Co tyle znaczy, moja droga — wtrąciła margrabina — iż od tej chwili będziesz pobierała rocznie sześćdziesiąt tysięcy franków, a ponieważ jestem biegłą w rachunkach, dodam, iż masz do wydania dziennie blisko dziewięć luidorów. Oświadczam jednak z góry, iż dziś zmuszę cię do wydania sumy o wiele znaczniejszej... Pomyśl sobie kochany prezydencie iż podjęłam się przystroić ją od stóp, aż do głowy... Nie bierz nam więc za złe że już się wynosimy, mamy przed sobą nie lada zakrętaninę, dzień okropnie pracowity!

Powstała. P. Vaugenis odprowadził obie panie na schody. Gdy zeszły do połowy piętra poprosił jeszcze na chwilę pannę Maulabret która natychmiast wróciła nazad. Wprowadził ją do przedpokoju. a wskazując na wschody, giestem pełnem gniewu i groźby rzekł chytrze oczami mrugnąwszy:

— Strzeż się pani!

Jetta spojrzała na niego pytająco Czy miała się strzedz schodów. czy pani de Moiseax?

— Wstało się do dnia — szepnął jej na ucho — aby zaraz u bramy szpitalnej zastawić na panią sidełka.

Coraz mniej pojmowała. to jednak jasnem było, iż schody z gry wychodziły. Dodał jeszcze:

— Uczyń mi pani tę łaskę i niczego nie przyrzekaj. mnie się wprzód nie poradziwszy Mam w papierach moich list twojego dziadka którego dziś nie mogę pani pokazać, ale który wpłynie kiedyś stanowczo na pani postanowienie.. Ale! ale! radabyś pani niezawodnie posiadać

dziadka fotografię, odeszlę ją pani pocztą. Nie wypada kazać tak długo czekać pani de Moisieux.

Po tych słowach uwolnił pannę Maulabret. Ta pospieszyła za margrabiną.

— O czem chciał mówić z tobą, ten kochany prezydent? — spytała słodziutko margrabina.

— Dowiadywał się czy posiadam dziadka fotografję i obiecał mi ją przysłać — odpowiedziała uszczęśliwiona, iż ma się czem wykręcić i tylko przez pół skłamać potrzebuje.

— Teraz pomyślmy o sprawach najważniejszych! — zawołała wesoło pani de Moisieux.

Owemi sprawami tak wielkiej wagi, była bieganina bez tchu niemal po całem mieście. Ta podróż od magazynu do magazynu, odbywana galopem znużyła Jettę na śmierć; margabina przeciwnie była w swoim żywiole, uszczęśliwiona i niezmordowana. Na szczęście mroźne powietrze opróżniło magazyny, nigdzie więc i na nic czekać nie potrzebowały. Zresztą mimo iż margrabina podupadła majątkowo i mimo idei republikańskich, obsługiwano ją wszędzie na wyścigi, gdyż jej nazwisko budziło w sercach kupców błogie i wdzięczne echa. Nie przebierała długo i nie targowała się nigdy, decydowała się szybko, nie cofając się i nie zwracając po dziesięć razy towarów wybranych. Po drodze miała kilka żywych utarczek z Jettą, która nie podzielała jej gustu do materji lśniących i barw krzykliwych. Dziewczątko rade by było nosić żałobę po zmarłym dziadku, margrabina jednak potrafiła jej wyperswadować, iż dziadek z powodów metafizyczno - politycznych nienawidził barw tak czarnych jak popielatych, nawet odcieni fioletowych, że wreszcie prawdziwą żałobę nosi się w sercu. Cokolwiek jednak zastosowała się do Jetty i ta ze swojej strony uległa w tem i w owem pomna nauk matki Amelji:

— „Poświęć muchę aby uratować słonia.“ — I sprawunki szły za sprawunkami, pudła za pudłami, góry piętrzyły się na górach. Margrabina niemal wszystko kazała odsyłać wprost na kolej; trochę „drobiazgów niezbędnych na razie“ jak się wyraziła, wystarczyły aby zapełnić od dołu do góry powóz na cztery osoby. Trawiona gorączką sprawunkową, margrabina nawet o jedzeniu zapomniała. Jetta natomiast czuła głód oddawna, po lekkiem i niedostatecznem śniadaniu w klasztorze. Jadąc na kolej dopiero pani de Moisieux, miała szczęśliwe natchnienie i kazała wstąpić po drodze do pasztetnika. Tu wypiły po szklance ponczu i zjadły na prędce po kilka pasztecików. Młody żołądek Jetty, uważał ten posiłek za bardzo niedostateczny. Trzeba się było jednak zadowolić czem bądź bo i tak o mało się na pociąg nie spóźniły.

Margrabina obiecała panu Cantarel iż odwiezie mu Jettę na objad. Przed czwartą po południu, wsiadły do wagonu. Było to zadanie nie lada, popakować razem z niemi pudła i pudełka. Mróz odstraszył pasażerów w przedziale, prócz nich nie było nikogo i jakoś się wszystko pomieściło. Jetty co prawda, nie było widać z pomiędzy pakietów. Zaledwie się ze wszystkiem uporały gdy pociąg ruszył.

VII.

Panna Maulabret w krótkiem swojem życiu, poznała li dobrze i dokładnie pensjonat i szpital. Paryż mało ją jednak zajmował; odetchnęła dopiero swobodnie, gdy pociąg wyjechał na czyste pole przykryte jak okiem zasięgnąć jednostajnym białym całunem. Z trudnością dobito się do stacji w Villeneuve. Pod mrozem śnieg stwardniał, koła wagonów ślizgały się, kręciły na miejscu i nie mogły wpaść w relsy. Jeszcze gorzej szło dalej. Za Villeneuve jedzie się trochę pod górę. Mimo iż postarano się o drugą maszynę, potrzebowano całej godziny aby przebyć pięć kilometrów; dwa potwory sapały wściekle buchając parą jakby ich złościło, że nie mogą podołać zadaniu i muszą odmówić usługi. Na drugiej stacji pociąg stanął. Unosząc się cierpliwością czas jakiś, pani de Moisieux spuściła wreszcie okno i skinęła na szefa stacji. Ten, aby się dostać do jej, wagonu, musiał przeskakiwać całe wały śniegu. Wytłumaczył jej, iż wicher taką masę śniegu zwiał w wąwozie, pod samą stacją, iż cały zastęp robotników od rana pracujących nie jest w stanie usunąć z drogi lawiny olbrzymiej. Co najmniej przekopywanie potrwa jeszcze ze dwie godziny. Margrabina zrezygnowana usiadła nazad okno podniósłszy.

— Dwie godziny! — wesoło zawołała. — Trochę za długi odpoczynek... Spróbójmy spać.

Otuliła się w futro, głowę opierając o poduszki. Nagle wykrzyknęła:

— A nasz objad?! Przyznaj się, moja droga, wszak giniesz z głodu, nieprawdaż?

Jetta przyznała się z całą szczerością. Można nakarmić kanarka sałatką, ale panny dorosłej nie zaspokoi się kilkoma pasztecikami.

— Chodźmy! może dostaniemy czego w bufecie — zaproponowała margrabina.

Wysiadły z wagonu i to brnąc w śniegu po kolana, to ślizgając się jak na łyżwach, mimo iż miejsca skorupą lodu pokryte, popiołem posypano, szły ku stacji. Niestety w poczekalni nie było bufetu!

— Śliczna historja! — margrabina ręce załamała.

W tej samej chwili spostrzegła w rogu sali młodego człowieka. Zdawał się dumać, lub drzemał po prostu w czapce futrzanej, na uszy naciśniętej, w butach filcowych po kolana, w futro otulony, z kołnierzem wysoko podniesionym. Margrabina nie potrzebywała widocznie patrzeć w twarz czują, aby go poznać. Zbliżyła się do spiącego, dotknęła się z lekka jego ramienia i rzekła z uśmiechem:

— Niebo nam ciebie zesłało, lamparcie!

Lampart otrząsł się ze snu, dźwignął się z krzesła i ukłonił się oczy przecierając.

— Przedstawiam ci młodą panienkę, która ginie z głodu. Złóż dowód, kochany Valport, że możesz przydać się na coś pożytecznego i postaraj nam się o objad.

— Objadu się pani zachciewa? Zważ margrabino, iż ugrzęźliśmy w dziurze, gdzie nikomu się nie śni nawet o objedzie!

— Ba! Zadowolniłybyśmy się byle jakiem skrzydełkiem!

— Fiu! fiu! zaraz skrzydełko! łatwo powiedzieć! Ha! zrobię co będę mógł! — Podał ramię margrabinie i z Jettą idącą za nimi przeszli plac niewielki, ale oślizły jak lodowce alpejskie, wśród wichru rzucającego im w oczy całe masy śniegu. Nareszcie dobili się z wielką biedą do lichej kawiareńki, zaledwie oświetlonej lamką naftową. Kawiarz zmięszany, zapowiedział z góry, że jest bardzo źle w wiktuały opatrzony, podał im krzesła słomą wyplatane, przykrył stół obrusem, na którym postawił butelczynę wina i chleba bocheneczek.

— A teraz idźmy na wyprawę! — zaśmiał się p. Valport. — Proszę tu chwilkę zaczekać. Sposobność jedyna popisać się moim geniuszem na ten polu! — Znikł z horyzontu, lecz w kwadrans później był z powrotem. Jak Sancho na weselu Gamasza, trzymał tryumfująco coś w prawej ręce i przyciskał do serca, z czego buchała para aromatyczna.

— Brawo! — margrabina w dłonie uderzyła. — Cóż nam pan przynosisz!

— Niestety! nie ma skrzydełek, same podróbki... Ale powąchaj no pani! Wyborności! Chciej wierzyć margrabino, iż cudu dokazałem, czyn spełniłem najśmielszy i najtrudniejszy w życiu całem. Ta rynka stała już na stole rodzinnym. Słów nie ma, aby opisać, ile wyekspensowałem wymowy, dyplomacji i wykrętów, zanim rynkę zdobyłem.

Panna Maulabret podniosła welonik. Pan Valport spojrzał na nią, a zdziwienie jego było tak silne, iż o mało nie wypuścił z ręki podróbków, zdobytych z takim trudem. Tak jednak szybko nad wrażeniem zapanował, że żadna z pań nie spostrzegła jego pomięszania. Postawił rynkę, pomógł chłopcu w kawiarni do nakrycia stołu, odkorkował butelkę i spytał zwrócony ku margrabinie:

— Zapraszacie mnie panie?

— Zapraszamy go, czy nie? — margrabina spojrzała na Jettę.

Ta nic nie odpowiedziała, tylko powstawszy, przysunęła uprzejmie trzecie krzesło panu Valport, obdarzając go jednym z owych uśmiechów, który nie dawniej niż wczoraj, służył do ukojenia cierpień ciężko chorych. Pan Valport nie potrzebował wprawdzie, aby go pocieszano, był jednak znawcą; uznał zatem, iż ten uśmiech był nagrodą zupełnie dostateczną, za trudy poniesione. Po raz pierwszy w tym dniu tak pracowitym, pannie Maulabret zrobiło się dziwnie lekko na sercu i uczuła się niemal szczęśliwą. Skoro na niego okiem rzuciła, uderzyła ją twarz pana Valport'a; zachwyciły ją rysy regularne, wzrok pełen ognia, mina pańska i dziarska jednocześnie. Przypomniała jej się pewna książka z ilustracjami, czytana jeszcze na pensji. Był tam między innemi opis podróży i portret sławnego strzelca lwów i tygrysów. Pan Valport był do niego podobny. W chwili obecnej atoli, nie składał się ze strzelbą do lwa, tylko stół nakrywszy, gotował się wesoło, do spożycia razem z nią rynki z podróbkami, które zdobył dla niej siłą mocą, wśród śnieżnej zawieruchy. Podobał jej się rzeczywiście, skłamała by była, utrzymując co innego; że jej o to jednak nikt nie pytał, nic nie mówiła, myśląc po cichu tem więcej.

Wzięto się do podróbków. Margrabina zrazu troszkę podziubała, prędko atoli przestała, zastawiając całą rynkę na pastwę dwojgu młodym ludziom.

— A teraz, kochany panie — zainterpelowała po chwili młodego człowieka — chciej mi łaskawie wyjaśnić, jakiem zrządzeniem Opatrzności w porze, o której cały Paryż zwykł jeść objad, myśmy ciebie spotkały w norze, gdzie nikt o tem nie myśli?

— Nie pytaj margrabino — odrzucił. — Albo skłamię, albo pani mi wierzyć nie zechcesz.

— Pan masz zatem dla mnie tajemnice?!

— Chroń mnie Boże od czegoś podobnego! tylko moja historja wyda się pani niemożliwą.

— Jeżelibym się jednak wierzyć zobowiązała?

— Niech i tak będzie! Jadę zatem po prostu do mego majątku Bois-le-Roi, do zamku, w którym nigdy noga moja nie postała, a który, jak utrzymują, ma wyglądać jak stodoła na pół rozwalona.

— Jedziesz pan tam na dwadzieścia cztery godzin?

— Na więcej...

— Na trzy dni zatem?

— Na całe trzy miesiące!

— Na początku zimy?!... Ależ to być nie może!

— A com pani mówił, że mi nie uwierzysz!

— Więc to zakład?

— Coś w tym rodzaju.

— Wygrana musi być bardzo znaczną?

— Olbrzymia! w mojej bowiem historji wszystko jest nieprawdopodobne.. Do tego stopnia, iż gdybym zakład przegrał przez jakąś fatalność, mogłabyś pani uważać mnie nie tylko za człowieka zrujnowanego do szczętu, ale wprost za nieboszczyka.

— Ach! teraz rozumiem, dla czego bulwar, po którym biegaliśmy niedawno, robiąc sprawunki, wyglądał tak smutno tak niemal rozpaczliwie.. Przywdział po panu żałobę... Ba! w kontrakcie pańskim nie ma pewno mowy o nocach spędzanych w Bois-le-Roi... każdego zatem ranka...

— Pani się myli. Gdyby jaki interes ważny a niespodziewany, spowodował mnie do odwidzenia w tym czasie Paryża, musiałbym otrzymać na to specjalne pozwolenie, ja zaś prosić o nic nie lubię!

— Jak że pan tam, na miły Bóg! zamyślasz czas spędzać?

— Na robieniu wizyt i staraniach najusilniejszych, aby mnie wybrano merem w mojej gminie.

— A gdy merem zostaniesz?

— Postaram się zostać radcą, następnie deputowanym.

— Za cztery zaś lata pokusisz się pan o prezydenturę republiki najniezawodniej...

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Nieznajomy pierwszy sobie przypomniał i wykrzyknął ucieszony:

— Pan jesteś owym adjutantem *La Fayette'a*, którego Idjanie przezwali byli walecznym... a towarzysze broni tytułowali, kapitanem Tankredem?!...

Tankred skłonił się uprzejmie.

— Panie hrabio Gaillefontaine — dodał nieznajomy. Jutro będę miał zaszczyt przedstawić cię Arturowi O'Connor.

— A dla czego nie dziś wieczór?

— Droga przed nami daleka i trzeba zapewnić się z góry, czy nie grozi nam jakie niebezpieczeństwo. Widzisz pan, jak go zawzięcie prześladują. Wszystko zatem nakazuje jak najwyższą baczność i ostrożność.

I jakby chciał tejże dowieść, nieznajomy oglądał się pilnie w około, po przestrzeni oświetlonej łuną pożaru.

Spostrzegł Pata i żywo zapytał:

— Czy nie pański to przewodnik, trzyma i głaszcze jasno kościstego rumaka?

— *Rossinanta i Sancho*! — roześmiał się Tankred — tylko chudy, o ile tamtem był otyły!

— Najrozsądniej byłoby odprawić sługę wraz z koniem natychmiast. Pan hrabia raczy wybaczyć, skłonił się grzecznie, muszę wydać niekróre rozkazy... za chwilę będę z powrotem.

Gaillefontaine skinął na Pat'a.

Usłyszawszy iż ma się zabierać, poczciwy chłopczysko nie mógł żalu utaić:

— *Hillou*! — wykrzyknął — jaka szkoda! Tak już przywykłem do waszej wysokości!

— Skoro będę ciebie potrzebował – pocieszał go hrabia — napiszę do Filipa, bądź pewny! Masz tu oto pieniądze, za które chciano konia sprzedać. Zatrzymasz co zechcesz. Pozwalam ci wybrać jedno z dwojga, konia, lub sześć funtów szterlingów. Do zobaczenia Pat.

Przez pół pocieszony, nie tyle hojnością hrabiego, ile nadzieją, że go może jeszcze kiedy zobaczy, Pat wybrał się w drogę żegnając się w ten sposób:

— Tam, nad brzegiem jeziora, upatrzyłem sobie dziurę w skale. Jak raz stajenka dla mojego konia, a i dla mnie wyborne na noc legowisko! Długiego życia i pomyślności w zamiarach życzę waszej ekscelencji!

Tankred zwrócił zwrok ku zamkowi, którego górne sufity z trzaskiem się zapadały. Płomienie buchały teraz przez okna, liżąc ze wszystkich stron łuk potężny, nad główną bramą. W tym blasku ponurym, na tle języków ognistych, figury i amblemata heraldyczne, rzeźbione w kamieniu na herbie O'Connor'ów, zdawały się odstawać od muru i nabierać życia nadnaturalnego, jakby chciały wzlecieć, uwalniając się z więzów, któremi rzeźbiarz złączył je z granitem. Nagle łuk pękł, a stare herby runęły na ganek w proch niemal się rozsypując

— Zła wróżba! — mruknął nieznajomy, który pojawił się w tejże samej chwili.

— Dawna przepowiednia istnieje, która zapowiada śmierć ostatniego z O'Connor'ów, skoro runie ta ich tarcza herbowa.

A przechodząc w ton zwykły uprzejmego gospodarza:

— Panie hrabio! — przemówił — zapóżno przybyliśmy abym mógł gościowi ofiarować, jedną z pysznych niegdyś komnat zamkowych. Pustelnia jednak Fin-Bar'a, Świętego z białą brodą, została nietknietą, na swojej wysepce, będącej w ogólnem poszanowaniu. Wszysko musi już być gotowe na pańskie przyjęcie, będę miał więc zaszczyt, panu aż na miejsce towarzyszyć

Tankred skinął głową na znak przyzwolenia i udali się razem nad jezioro.

Za chwilę atoli, nieznajomy stanął jakby nie mógł dłużej pohamować palącej go ciekawości.

— Błagam cię hrabio! — przemówił namiętnie — pozwól zadać sobie tylko jedno pytanie!

— Jakież to?

— Przybywasz z Francji?

— Tak jest.

— Wysłany przez kogo?

Tankred takie powiął zaufanie, iż odpowiedział bez wachania:

— Przez Hoche'a.

— Kiedyż przybędzie?

— Nie żyje.

Krzyk najwyższej rozpaczy wyrwał się z piersi nieznajomego. Upadł na odłam skały i twarz zakrył oburącz!

— Nie żyje! Nie żyje! — powtórzył głosem drżącym od bolu, który mu serce rozrywał. — Ah! i tym razem, Bóg się widocznie od nas odwrócił!...

Powstał i wrócił się do nazad do swoich towarzyszy:

— Rozejdźcie się, każdy w swoją stronę — rozkazał — a krzyż czarny, zatknijcie na każdym pagórku i drogi zakręcie. Wszystko na później odłożone.. Tak być musi!... Za tydzień zejdziemy się w Bog-Allen.

Rozeszli się w głuchem milczeniu, tak samo jak się byli zjawili cicho i niespodzianie. Jeden tylko trochę dłużej się zatrzymał i spytał:

— A gdyby przyszła... Ona?... co każesz panie jej powiedzieć?

Zapytany schylił się i urwał jakieś ziele:

— Oddasz jej tę gałązkę.. a wszystko zrozumie!

I ten ostatni posłaniec tajemniczy, ulotnił się w ślad za drugimi.

O kroków kilka słychać było fal bicie o brzeg jeziora. Czółno było uwiązane w gęstych zaroślach. Tankreda poprosił grzecznie nieznajomy, żeby raczył wsiąść do czółna, sam zaś czółno odwiązał, schwycił za wiosło i jednem silnem pchnięciem odbił od brzegu. Nowy przewodnik, wiózł go na ową wysepkę poświęcaną.

Z pomiędzy drzew o konarach rozłożystych, sterczała wieżyczka, nie wielkiej mszalnej kapliczki, w stylu gotyckim. Do niej przypierał budyneczek murowany, rodzaj lamusa z jedynem okienkiem, w którem obecnie światełko migotało.

— W czasach szczęśliwszych — tłumaczył przewoźnik, było to księdza mieszkanie. Tej nocy pan tam znajdziesz pewne schronienie.

Do brzegu wysepki przybiwszy, nieznajomy zawołał:

— Unkas!

To imię, które hrabia słyszał tylko z tamtej strony Atlantyku, zdziwiło go niesłychanie.

Człowiek, którego przyzywał, zjawił się natychmiast, z rodzajem latarki z płótna napuszczonego tłustością, które doskonale światło odbijało.

Za cały strój, miał krótką spodniczkę wełnianą. Reszta ciała, była zupełnie obnażona, nosząc na skórze koloru miedzi, liczne znaki tatuowania. Głowa zaś była zupełnie ogolona, prócz jednego na samym wierzchu, kosmyka włosów, tak, jak jest w zwyczaju u dzikich w dziewiczych lasach Ameryki.

— Nie omyliłeś się, hrabio — skinął głową nieznajomy, czytając w oczach gościa nieme pytanie -- to Indjanin z tamtąd przywieziony. Sługa najwierniejszy, prawdziwy przyjaciel! Wie, że na tę noc, ty hrabio będziesz jego panem. Życzę panu spokojnej nocy i dziękuję, żeś raczył na moje pytanie odpowiedzieć. Domyślam się, że i pan chciałbyś mnie o coś zapytać, mianowicie: kim jestem?.. Dowiesz się o tem jutro.

I wysadziwszy na brzeg gościa, sam nazad ku zamkowi odpłynął. Tankred udał się do domku, dokąd go prowadził czerwonoskóry.

W jednej izbie na pół rozwalonej rudery, było wysłane łoże z mchu i skóry jeleniej, a na stole przekąskę przygotowano

Wiadomo nam, że Tankred był ciekawskim.

— Do stu katów! — strzepnął palcami, pożerając z wilczym apetytem dary boże, na stole obficie zastawione — przypomnę sobie choć tyle z języka Irokajskiego żeby coś wyciągnąć z Indjanina! Gdyby nic więcej, to muszę przynajmniej tyle się dowiedzieć, dla jakiej piękności tajemniczej była przeznaczoną owa gałązka symboliczná!

Na pierwsze atoli pytanie, usta Unkasa wykrzywiły się, co miało uśmiech zastąpić.

Rozdziawił gębę, straszliwie szeroką i nieforemną, pokazując w niej język ucięty.

— Niemy! ha! ha! ha! — hrabia śmiechem wybuchnął.

— Doskonale! Szach! i mat! Tankredzie kochany! Widocznie tam w górze zapisano, iż masz się dziś położyć, wśród ciemności egipskich! otoczony tajemnicami!

Mimo drażniącej go ciekawości, usnął niebawem, mrucząc jeszcze z oczami przez pół zamkniętemi:

— Gdzie ja mogłem, do pioruna! spotkać tego człowieka zagadkowego?!

Równo ze świtem, Tankred zobaczył u stóp łoża improwizowanego, swojego tajemniczego przewodnika.

— Czas nagli, panie hrabio! — przemówił — musimy puścić się w drogę.

Był teraz ubrany w strój zwykły rolników w Irlandji, prócz butów wysokich do polowania i krótkiego karabinka, ze stemplem fabryk amerykańskich.

— Konie będą na nas czekały, z tamtej strony góry — zapowiedział. — Kilka godzin podróży pieszo, ścieżkami stromemi, któremi chodzą li przemytnicy, nie wydadzą się zbyt wielkim trudem panu hrabiemu, nieprawdaż?

— Jestem przecie myśliwym zapalonym — Tankred zaprotestował energicznie — i żołnierzem w dodatku!

Odeszli.

Zamek przedstawiał obecnie stos zgliszcza dymiącego, zamykającego drogę z jednej strony. Trzeba było wrócić się wstecz, na ów bity gościniec, którym wczoraj Pat wiódł Tankreda.

Wiadomo nam, iż droga kręciła się tu wężykowato, aż na sam wierzchołek pagórka, wchodzącego niemal w jezioro, zkąd nasi podróżni ujrzeli w całej grozie fantastycznej niebo, jezioro i zamek w płomieniach.

Dochodzili właśnie do pierwszego drogi zakrętu, który w tem miejscu tworzył jakby kolano, gdy jakaś postać długa wyskoczyła z krzaków przydrożnych i wraz z gradem kamieni, upadła do nóg zdziwionym podróżnikom.

Był to Pat, bez tchu prawie, z oczami wytrzeszczonemi, rozczochrany więcej niż kiedykolwiek, jednem słowem: przestrach uosobistniony.

— Dzięki niebu! — wyciągnął w górę ramiona, podnosząc się z ziemi — żem jeszcze dopadł waszą wysokość!

— A więc to ty, mój chłopcze! — zaśmiał się Tankred — spadasz nam pod nogi, jak ulężałka! Gdzieżeś do djabła! konia zaprzepaścił?!

— Ukradziony! — wykrzyknął *Paddy* rozpaczliwie. Wszystko mi zrabowano i konia i pieniądze, w chwili właśnie, kiedy miałem w drogę wyruszyć. Niech się wasza wysokość ulituje nad biedakiem!

— I nie próbowałeś się bronić? — wtrącił hrabia tonem pogardy.

— Ależ chciałem! — Pat zapewniał uroczyście. — Uciąłem sobie, w lesie potężny *shillelach* i *ma Bouchal*, zebrało mi się grubo na odwagę! Ale jednem słowem gębę mi zamurował i broń z ręki wytrącił!! Nazwał się... Był to *Wild Irish*!

— *Wild Irisch*! — powtórzyli jednocześnie hrabia i nieznajomy, każdy w tonie odmiennym.

— Hillou! — wasza wysokość zrozumie, iż na resztę nie czekałem! Uciekałem co tchu, wyprzedzając go ścieżką na przełaj, aby błagać wysokość o ratunek.

Tankred nie słyszał go wcale.

— *Wild-Irish*! — mruczał z cicha. — Tam do djabła! wielka szkoda! Opuściłem jedyną sposobność! Tak bym rad zobaczyć tę figurę żyjącą od pięciuset lat!

— Aj! aj! jedzie tędy! — krzyknął Pat — O! o!... słychać tętent mojego konia!... Już go widać!..

W rzeczy samej z drugiej strony pagórka, nadjeżdżał ktoś na chudym koniu.

Hrabia chciał mu drogę zastąpić.

Towarzysz wstrzymał go w zapędzie.

— Pozwól mi pan — rzekł uroczyście — wypytać najprzód szczegółowo tego biedaka.

A zawracając się do Pata:

— Stań na tym skały odłamie, kryjąc się za drzewo, rozkazał — i przypatrz się dobrze, czy to istotnie twój rabuś!

— On! on! niezawodnie! — Pat potwierdził

— Przysięgasz na zbawienie twojej duszy, że ten człowiek nazwał siebie *Wild Irish.*

— Żebym nigdy nie oglądał światłości niebieskiej, jeżeli kłamię!

— Dobrze, reszta do mnie należy!

Naciągnął cyngiel u karabinka, zepchnął Pata i sam stanął na skale.

Jeździec właśnie do tego miejsca dojeżdżał

Nieznajomy krzyknął tonem ostrym, żeby stanął i zsiadł z konia.

Ale stało się całkiem przeciwnie Na widok trzech mężczyzn drogę mu zastępujących, obcy skręcił koniem na miejscu galopując co tchu, nazad ku zamkowi.

— Stój! i wróć się natychmiast! — powtórzył groźnie nieznajomy, przykładając broń do oka.

Koń pędzony bez litości, leciał jak opętany.

Padł strzał. Uciekający zachwiał się na siodle i runął twarzą do ziemi.

Pat pierwszy skoczył jak kot do niego. Za nim szedł Tankred, a na końcu zabójca, spokojny i poważny, jak sędzia, który wydał wyrok sprawiedliwy.

Ofiara jego, już nie żyła. Strzał celny przeszył serce.

Pat już klęczał obok na murawie, przetrząsając kieszenie zmarłego.

Gaillefontaine z okrzykiem zdziwienia, poznał w zabitym, ajenta w zielonym kaftanie.

— Szpieg! — przemówił z pogardą nieznajomy. — Oto, co znalazł u niego pański wczorajszy przewodnik.

W rzeczy samej była to książeczka z ołówkiem, w której Tankred znalazł notatki najdokładniejsze każdego kroku, giestu i słowa wymówionego, odkąd wsiadł na okręt w Bristol.

Pat wydobył z kolei sakiewkę pełną pieniędzy. Prosił żeby mu wolno było odebrać sumę jemu zrabowaną.

— Zabierz wszystko! — skinął ręką nieznajomy. — Wsiadaj na twojego konia i jedź z Bogiem! A na drugi raz pamiętaj nie wierzyć, żeby *Wild-Irish* mógł być złodziejem!

Zwrócił się ku hrabiemu z uśmiechem i dodał: — *Wild-Irish* to ja!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

A teraz spojrzyjmy z kolei na tę postać chudą, tak wiernie sportretowaną przez Guérin'a. Ileż w niej życia, ile wyrazu! Mundur, okrywający wązkie ramiona, marszczy się pod gwałtownym ich ruchem, szyja długa, okręcona sutym krawatem, skronie przysłonięte płasko spadającemi włosami, całość tak wypukła, tak wiernie oddana, jak gdybyśmy maskę mieli przed sobą. Rysy ostre, twarde, uwydatnione silnym kontrastem światła i cienia, policzki zapadnięte, o mocno wystających kościach, podbródek potężny i na przód wysunięty, usta ruchliwe, zwężone od natężenia uwagi, wreszcie wyraziste oczy, głęboko osadzone pod łukiem brwi wydatnych, spojrzenie przenikliwe, zaglądające do duszy, — wszystko, narówni ze zmarszczką, biegnącą wzdłuż czoła i zbliżającą ku sobie źrenice, zdradza wolę niezłomną i spiżową, która przy najmniejszem podrażnieniu piorunnym wybuchnie gniewem. Dołączmy do tego — według świadectwa współczesnych — głos ostry, ruchy gwałtowne, ton nakazujący, bezwzględny, rzucający najczęściej pytania, a zrozumiemy z łatwością, iż każdy, kto zbliżył się do tego człowieka, odczuwał natychmiast dłoń jego wszechwładną, która raz pochwyciwszy ofiarę w swe szpony, nigdy jej wolności nie pozwala odzyskać.

Już w salonach dyrektorjatu młody Bonaparte okazywał się nieprzystępnym, nadając sobie ton wyższości sposobem zachowania, jednakim zarówno względem mężczyzn jak kobiet. Ostre, urywane zdania zdawały się zaznaczać przepaść, istniejącą między nim a tymi, których rozmową swą zaszczycał. — Czy jesteś pan żonaty? — pytał znanego dyplomaty, lub: — Ile pani masz dzieci? — rzucał impertynencko modnej damie. — Kiedy pan wyjeżdżasz? — należało także do ulubionych jego a niezbyt zachęcających zapytań. Znalazłszy się w towarzystwie Francuzki, słynącej z urody, dowcipu i wykształcenia, Napoleon stanął przed nią wyprostowany, sztywny, jak stary generał niemiecki, i wygłosił z krwią zimną: — Pani, uprzedzam, iż nie lubię, gdy kobiety mięszają się do spraw publicznych.

Nic dziwnego, iż przy takiem zachowaniu się niknie odrazu wszelka poufałość i swoboda. Zbliżenie się nieugiętego wodza wystarczało, aby koleżeńska wesołość lub zapał nikły natychmiast, zmrożone jego widokiem. Gdy na półtora roku przedtem, zamianowany naczelnym wodzem armji włoskiej, przejeżdżać miał przez Toulon, admirał Decrès, dowiedziawszy się o tem, przyobiecał towarzyszom broni, iż przedstawi ich nowej gwieździe. „Znałem go tak dobrze w Paryżu" — pisze — „że miałem wszelkie prawo korzystać z zażyłego stosunku, na który z chlubą powoływałem się nawet. Biegnę więc pełen uniesienia i radości, podwoje salonu roztwierają się naoścież, a ja już... już mam się mu rzucić z zapałem na szyję, gdy wtem jedno spojrzenie, jeden dźwięk głosu, jeden ruch sztywnej postawy wstrzymały mnie na miejscu. A jednak nie było w nich nic znieważającego, broń Boże; był grzecznym, i to mi wystarczyło zupełnie. Od chwili tej nigdy już nie próbowałem zmniejszyć przestrzeni, jaką postawił między nami."

W kilka dni później, generałowie dywizji z Albenga, źle usposobieni względem nasłanego im z Paryża małego dorobkiewicza, udają się do głównej kwatery, aby powitać przybysza. Na czele ich stoi Angereau, wiarus dzielny i boharerski, lecz trochę nieokrzesany, dumny z olbrzymiej swej postawy i znanej odwagi, a oburzony wizerunkiem nowego wodza, jaki im z góry skreślono, — przyrzeka sobie być nieposłusznym, krnąbrnym, znieważającym nawet. — Ulubieniec Barras'a, uliczny jakiś generał, o wątpliwej sławie z czasów vendémiaire'a, a któżby mu nad sobą przewodzić pozwolił! Czyż przemawiają za nim czyny głośne lub koło licznych przyjaciół? Nieznany, z niepoczesną miną, zawsze zamknięty w sobie, lepszym byłby na profesora lub marzyciela, niż na wodza naczelnego! — Wprowadzają ich, buńczuczny jednak wiarus musi czekać. Bonaparte nie zaraz jest widzialnym Gdy ukazał się wreszcie ze szpadą u boku i głową nakrytą, gdy, wyraziwszy krótko życzenia swoje, wydał rozkazy, a potem ich pożegnał, Angereau spostrzegł dopiero, iż sam ani jednego nie wymówił słowa. Stał onieśmielony, oniemiały. Na schodach zato odzyskał całą pewność siebie, a wracając do zwykłych swych gburowatych okrzyków, przyznał, że Massena miał rację, — ten mały bowiem szczur generalski istnym przejął go strachem. „Nie pojmuję" — wołał — „dziwnej siły, z jaką mnie zmiażdżył od pierwszego wejrzenia."

I nikt jej nie mógł zrozumieć. Nadzwyczajny bowiem, o głowę duchem przerastający innych, Bonaparte stworzonym był do rozkazywania i przewodzenia, do podbojów i zdobyczy. Współcześni czują to dobrze, rozumieją przewagę tego człowieka jedynego w swoim rodzaju, a najbystrzejsi wśród nich, najlepiej obznajomieni z historją ludów obcych, pani de Staël, a później Stendhal, chcąc pojąć i wytłumaczyć niezwykłe to zjawisko, wracając do tyranów włoskich XIV i XV stulecia. Castruccio-Castracani, Braccio z Mantuy, Piccinino, wreszcie Malatesta z Rimini i Sforza Medjolański, są według nich, najlepszymi pierwowzorami Napoleona. O ile jednak, w przekonaniu badaczy, łączność opiera się tu jedynie na podobieństwie rysów psychologicznych, o tyle, wobec faktów historycznych, można oddalonego pokrewieństwa z całą dowieść ścisłością. Bonaparte wywodził ród swój od możnej rodziny włoskiej, której przodkowie w 1400 roku występowali już na widownię publiczną. Prawnuk awanturników wojskowych, zdobywców i założycieli dożywotnich państewek, odziedziczył on wraz z krwią ich instynkta wrodzone, popędy umysłowe i moralne. Szczep drobny, wyrwany z ziemi rodzimej, lecz wyczerpanej i przeniesiony do młodszej szkółki, zanim jeszcze ubóstwo soków lub stopniowa zagłada dosięgnąć go zdołały, zapuścił tu korzenie, lecz asymilując się z nową glebą potrafił zachować wszystkie cechy pierwotne, umiał nawet wzmocnić je umiejętnem krzyżowaniem i przekazać nietknięte z pokolenia w pokolenie. Ostatnia latorośl jego zebrawszy wszystkie te soki życiodajne, wystrzeliła wreszcie w pień potężny, który z biegiem lat okrył się takim samym kwiatem i takie same wydał owoce, jak drzewo pierwotne, z którego oderwanym został. Własności przyrodzone o tyle jednak nań działały, iż cywilizacja współczesna, narówni z ogrodnictwem francuzkiem, bezsilnemi się okazały. Odciąć kilka cierni, zniszczyć parę pędów pasożytnych, oto do czego ograniczyło się ich działanie, zmienić własności drzewa, stłumić wybujałość, nadać inny kierunek wzrostowi—było to w danym wy-

padku zadanie, przechodzące ich możność. Łatwo wreszcie zrozumieć, iż grunt, jaki przedstawiała Francja, a wraz z nią Europa, zniszczony burzami rewolucji, podatniejszym był do jego przedsięwzięć, niż atmosfera wieków średnich. Pole to żyzne, obszerne, wolne od wszelkiego współzawodnictwa tego rodzaju, to też podczas gdy przodkowie jego musieli ciągle walczyć z równymi sobie awanturnikami, Bonaparte, pan wszechwładny całej przestrzeni, mógł bezkarnie zagarniać dla siebie wyłącznie wszystkie soki ziemi, cały zapas powietrza i słońca, nagromadzony w przestworzu, mógł wzrastać i potężnieć, dochodząc do wymiarów olbrzymich, jakich prapradziadowie... protoplaści jego, posadzeni na mniej bujnej ziemi i ścieśniani przez natłok podobnych sobie zaborców, nie mogli nigdy dosięgnąć, jakkolwiek wrodzona im chciwość nie mniejszą pewno była od zaborczych instynktów Napoleona.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 18. Lutego 1888 r.

Odkąd ks. Bismarck zapowiedział *urbi et orbi*, że jest moim aliantem i że w razie zaczepki ze strony naszego sąsiada północnego, wystawi dwa miliony żołnierzy na swojej wschodniej granicy, by mnie bronić, duch nowy wstąpił w moje ciało i na przypadek wojny nie będę już emigrował za Karpaty. Nie wątpię, że takiego samego wrażenia doznali i inni obywatele tak w ściślejszej, jak i w obszerniejszej mojej ojczyźnie, a wielu nawet święcie wierzy, że w tym roku bez paszportów będziemy mogli zwidzieć Ławrę kijowską. Daj to Boże, byle tylko równocześnie mój aliant szanowny nie usadowił się na lewym brzegu Wisły, bo toby chyba było największem nieszczęściem dla mojej ojczyzny. Chciałbym aby „russkim“ trochę skórę przetrzepali, lecz boję się żeby mój aliant nie pomyślał wtedy o zaokrągleniu granic, bo toby się znów na naszej skórze odbiło.

Wielka była mowa Bismarka, ale w gruncie rzeczy jak smutne robi ona wrażenie! Od początku do końca obracała się dokoła krętactw dyplomatycznych, dokoła armat i karabinów, o tem zaś co człowieka może podnieść i natchnąć jakąś wyższą ideą, nie było w niej ani słowa. Siła brutalna, oto dogmat polityki żelaznego kanclerza. Strasznie też pomyśleć, coby nastąpiło, gdyby niemcy po raz drugi rozgromiły Francję. Wtedy żyć by już nie warto...

Obok wojny, Galicja zajmuje się w tej chwili z równem prawie zajęciem broszurą delegata do Rady Państwa, p. Szczepanowskiego pt. »*Nędza w Galicji w cyfrach*« z której niestety smutnych rzeczy się dowiadujemy. I tak na podstawie dat skrzętnie zebranych, autor w niej udowadnia, że przeciętny galicjanin je za pół, a pracuje za ćwierć człowieka, z głodu zaś rok rocznie umiera u nas 50.000 ludzi. Stosunki nasze ekonomiczne są przerażające, to też jeżeli kraj nie pomyśli o polityce nakładowej szerszego kroju, o podźwignięciu rolnictwa a o ugruntowaniu przemysłu, pozostaniemy na pół dzikimi barbarzyńcami. Pierwszy nakład tej pracy ciekawej już się rozszedł, drugi w ilości 10,000 egzemplarzy właśnie się drukuje. Autor pragnąc, by ta książka mogła być przez wszystkich czytaną, postanowił sprzedawać egzemplarz (duży tom) po 20 centów. Ktokolwiek więc słowa niniejsze będzie czytał, niech jak najprędzej dzieło to kupuje, a gdy je przejrzy będzie nam wdzięczny żeśmy na nie zwrócili jego uwagę.

Do czego w innych państwach dobre gospodarstwo doprowadziło, dowiadujemy się z niezmiernie ciekawego opisu pewnego majątku angielskiego, który należy do dzisiejszego premiera W. Brytanji, margrabiego Salisbury'ego.

Majątek ten nosi miano Hatfield-House, a elektryczność, jako motor mechaniczny, odgrywa tam w gospodarstwie pierwszorzędną rolę. Do wytworzenia potrzebnej siły elektrycznej, służy tam woda strumienia Lea, przerzynającego park miejscowy, która wprowadza w ruch turbinę i dwa koła wodne o sile 16, ewentualnie 40 koni parowych. Oprócz tego, stoją w rezerwie trzy machiny, z których jedna poruszana jest siłą gazu, a dwie siłą pary, na wypadek gdyby woda odmówiła posłuszeństwa. Wszystkie prądy elektryczne skierowane są za pomocą podziemnych drutów koncentralnej stacji w zamku i tamżeześrodkowane. Cała więc siła ektryczności rozchodzi się z jednego punktu, w miarę potrzeby, już za pomocą drutów umocowanych na słupach, do miejsc swego przeznaczenia. Wszystko, co może być poruszane motorem mechanicznym, korzysta z tej siły. Elewator używany do stożenia siana, układania w sterty słomy, zboża, a oddający znakomite usługi w gospodarstwie tamtejszem, w czasie żniw lub sprzętu siana, bywa za pomocą tej siły poruszanym. Elewator ów daje się z łatwością przenosić w różne miejsca, a w ślad za nim, a raczej z nim razem, postępuje motor elektryczny, połączony z tym przyrządem tylko za pomocą drutów. Młocka zboża odbywa się również przy pomocy siły elektrycznej, z centralnej stacji przeprowadzone są druty do młocarni, która z łatwością daje się przenosić z miejsca na miejsce. W podobny a bardzo praktyczny sposób zastosowaną jest taż sama siła do poruszania sieczkarni, służącej do rznięcia wszelkich gatunków zielonej paszy dla jej dołowania. Układanie warstwami pomiętej sieczki dokonywa się również z pomocą elektryczności, przez wprawianie w ruch odpowiednio zbudowanych elewatorów. Czynność ta posiada w Hatfield szczególne znaczenie ze względu, iż dołowanie odbywa się w stodole i ogromna ilość zielonej paszy układa się w czworoboki na 20 stóp wysokie. Taż sama siła służy też do mielenia i szrutowania zboża. Nadto wszystkie budynki, domy mieszkalne i ogromny zamek, zaopatrywane są w wodę z miejscowej rzeki za pomocą wodociągów poruszanych siłą elektryczną. Jednym z najdonioślejszych wszakże wyników, jakiemi cieszy się gospodarstwo w Hatfield House, zawdzięczając je przeważnie elektryczności, jest praktyczne rozwiązanie kwestji: w jaki sposób najkorzystniej zużytkować odchody płynne i rozmaite ścieki w pobliżu położonego miasteczka. Otóż wykopano najprzód duży staw. Poziom jego leży o 30 stóp nad poziomem kanału służącego do odprowadzenia miejskich ścieków. Zapomocą siły elektrycznej, zogniskowanej w zamku, ścieki te przenoszą się z kanału do stawu, zkąd rozprowadzane są przez sieć odpowiednich rowów na łąki, leżące poniżej tego olbrzymiego rezerwoaru. Nie potrzebujemy nareszcie dodawać, że oświetlenie budynków gospodarczych i olbrzymiego zamku, dokonywa się także światłem elektrycznem; a rzecz to niełada, ze względu, iż jedna tylko sień w zamku t. z. marmurowa, wymaga 500 lamp elektrycznych a sala jadalna 240 lamp.

Więcej szczegółów nie podajemy; to co przytoczyliśmy, powinno już dać czytelnikowi dokładne pojęcie, na jaką skalę i w jaki sposób umiano w Anglii zużytkować mały strumień przeżynający park magnata angielskiego. A kiedy u nas doprowadzimy do takiej doskonałości? Dałby Bóg żeby jak najprędzej!...

p.

PORADNIK DOMOWY.

Przyklejanie skóry do powierzchni metalicznych.

Dla naklejenia kawałka skóry do powierzchni jakiegokolwiek metalu, może służyć następujący, całkiem nie trudny sposób: przejmuje się skórę mocnym gorącym klejem stolarskim, przykłada się do metalu i przyciska; powierzchnia metalu powinna być nieco chropowata lub mocno zarysowana pilnikiem. Zwilża się później skórę odwarem galasu, wskutek czego garbnik wchodzi w związek z pewnemi substancyami skóry, tworząc materję, odznaczającą się wielką spójnością zarówno dla skóry, jak i metalu.

Korki nieprzepuszczalne.

Dla szczelnego zakorkowywania butelek lub flakonów, zawierających płyny ulatniające się i zjadliwie działające na drzewo korkowe, korki powinny być uprzednio zahartowane, czego dokonywa się w sposób następujący: przyrządzić mięszaninę, składającą się z 15 gramów żelatyny, oraz 24 gr. glyceryny, rozpuszczając wszystko razem w 500 gram. wody. W roztworze tym trzyma się korki przez całe 12 godzin, poczem się je wyjmuje, osusza na wolnem powietrzu i bierze do użytku. Dla uczynienia korków wytrzymałemi na kwasy, trzyma się je w mięszaninie, składającej się z dwóch części wazeliny i siedmiu parafiny, nagrzewanej do 40% R.

Płótno nieprzemakalne.

Mamy tu jedynie na uwadze płótno grube, ordynarne, używane zazwyczaj do ochrony zaskoczonych przez słotę towarów, lub służące na pokrycie ulicznych stor, markiz, namiotów i t. p. Czyni się takowe nieprzemakalnem w sposób nadzwyczaj prosty i niekosztowny, a mianowicie: rozpuszcza się w glinianem naczyniu dziewięć części żywicy, dodając doń na wagę 15 części oleju rzepakowego. Po dokładnem przemięszaniu cedzi się otrzymaną mięszaninę; do markiz lub namiotów jednorazowe pociągnięcie płótna wystarcza w zupełności. Płachty zaś ochronne, jako najczęściej pozbawione skapu, po zaschnięciu pierwszej warstwy należałoby pociągnąć powtórnie, stosownie do przeznaczenia, do jakiego mają służyć. Mięszanina ta używa się także do nasycania powrozów zaprzęgowych, lin, sznurów od sieci i t. p., zabezpieczając od przesiąkania wodą, nadaje jednocześnie moc i trwałość.

Tynktura ze świeżej skórki pomarańczowej lub cytrynowej.

Przepis, zasadza się na następującej łatwej manipulacji: skrajać skórkę z kilku cytryn lub pomarańczy, to jest oddzielić od nich część spodnią, białą, jako całkiem indeferentną i zachować jedynie samą żółtą zewnętrzną powłokę. Naskrawywać tych cieniutkich skóreczek mniej więcej na jakie 250 gramów. Wpuścić je do butelki, zawierającej półkwarty mocnego spirytusu i macerować je w ten sposób przez cały tydzień. Po upływie tego czasu spirytus odcedzić, wyciskając miękkie skórki i otrzymany płyn przelać do szczelnie zakorkowanej butelki. Stanowi on żądaną tynkturę.

Łamigłówka głoskowa.

(Ułożył prof. Z. Morawski z Tarnowa)

			A	A			
		A	Á	A	A		
	A	A	A	C	C	D	
	D	D	E	E	F	F	
G	I	I	I	I	Ł	K	K
	K	L	L	L	M	N	
N	N	N	O	O	O	O	O
O	O	R	R	R	R	R	R
	S	T	W	W	W	W	
		Y	Z	Z	Z		

Litery w figurze zawarte przestawić tak, aby początkowe czytane z góry w dół po obudwu bokach wydały nazwiska dwóch dziennikarzy.

1) Dwie spółgłoski. 2) Dopływ Sekwany. 3) Znany z procesu księdza Naumowycza. 4) Część ziemi. 5) Motyl z rzędu mierników. 6) Rzeka w Apulii 7) Niegdyś własność Sobieskiego. 8) Rzeka w Azji. 9) Błonkówka z pokrewieństwa gąsienicznikowatych. 10) Mięsna potrawa.

Łamigłówka.

(Ułożyła p. Zofja Rylska z Krakowa.)

..... poważna; .... mocny; .... starożytna; ... przykra; ... smaczny; ... dziurawy, ... młodzieńcza; .... dobra; ..... czy bulba?; .... pełna; ..... uciążliwa; .. upragniony; .... żydówka; ... niebezpieczna; .... wysoka; .... kupiecka: ... groźny; ... doprawdy? ... który?; .... żelazna; .... świecąca; .... indyjska; ..... ostry; . . rwący; .....

Panowie, piękne panie, miejcie to na względzie,
Że z słowa ostatniego dobry napój będzie,
Wszystkie jednak poprzednie w niem jednem się zmieszczą,
Więc teraz odgadujcie waszą duszą wieszczą.

Kto powyższe łamigłówki rozwiąże, otrzyma powieść **Jaksy Bykowskiego „Mulik"**

Rozwiązanie zadania konikowego umieszczonego w Nr. 5.

Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
Ten widnokrąg objąć świata
I przycisnąć świat jak brata
Do mych piersi — bom szczęśliwy!
Wszystko moje, wszystko piękne
Moje ziemie, nieba, niwy!
Z skał tych życia głos wydźwięknę
Bo w mem sercu słowo boże!
Wszędzie cuda — wszędzie dziwy —
Ja roztopię się w przestworze!
Ja ci mówię, żem szczęśliwy.
Z. Krasiński „Przedświt"

Rozwiązanie zadania królewskiego z Nr. 5.

Niczem Sybir, niczem knuty,
I cielesnych tortur król,
Lecz narodu duch zatruty,
To dopiero bolów ból! *Krasiński.*

Rozwiązanie zadania głoskowego z Nr. 5.

G	o	e	t	h	E
k	A	p	e	L	a
p	a	W	Ż	a	k
z	a	B	A	w	a
s	l	b	i	L	a
E	r	y	n	i	E
k	T	o	e	W	a
k	r	A	l	n	a
k	o	C	O	n	a
c	Z	y	e	R	a
M	u	r	r	a	Ż
[illegible]	A	o	m	E	a
m	a	R	S	z	e
w	a	Z	Y	o	n
o	K	w	i	A	t
O	b	e	r	o	N

Gawalewicz Maryan
Elżbieta Orzeszko

Rozwiązanie Szarady z Nr. 5.

Szarada I-sza *powołanie,* II-ga *cierpienie.*

Pierwsze dobre rozwiązanie wszystkich łamigłówek umieszczonych w Nr. 5. przysłał WP. Karol d' Abancourt z Bolechowa i ten nagrodę otrzymał

Rozwiązanie wszystkich zadań nadesłali: WPni Seweryna Kovats ze Lwowa, WP. Władysław Zadurowicz ze Stanisławowa, WPni Emilja Wospiel z Łopatyna; WPni Kazimira Brzuszkiewicz z Chorostkowa; WP. Józef Kukurewicz z Olejowa.

Zadania konikowego i królewskiego: WP. Aleksander Godel słuchacz praw we Lwowie. Szarad: WP Marjan Chruśliński; zadania konikowego, szarad i zadania królewskiego: WP. Z. Morawski z Tarnowa; szarad: WPni Marja Bernacka z Krakowa: zadania konikowego, głoskowego i szarad: WPni Magdalena Frenklówna z Iwonicza.; Marcin Rembacz z Wieliczki; zadania królewskiego: WPni Marja Kacicka z Łąki; WP Zygmunt Wąsowicz z Tarnowa: WPni Laura Hausman z Przemyślan; WP. St. Faliszewski z Biecza.

„ODPOWIEDZI REDAKCJI".

Panu K. d' A w Bolechowie. Radaby dusza do raju, ale jej grzechy nie puszczają. Prosimy wziąć na uwagę wysokość prenumeraty. Mimo to rozwój będzie stały.

P. E. K. we Lwowie Listu nie otrzymaliśmy. Niedogodności, o której Szanowny Pan pisze, będziemy się starali zaradzić.

P. J. w Krakowie Jeżeli kilka osób równocześnie przysyle rozwiązanie łamigłówek, zarządzimy losowanie i dopiero ta, która pierwszy los wyciągnie, otrzyma nagrodę

Wszystkich przyjaciół naszego pisma, którzy nam przysyłają łamigłówki, prosimy o cierpliwość. Kolejno każdego praca będzie ogłoszoną.

Z drukarni nar. W. Manieckiego: Zarządca: Walenty Hodak. Wydawca: Józef Rogosz Odpowiedzialny redaktor Teofil Szumski